

Bronisław Kąsinowski

Franciszka Zabłockiego : "Król w kraju rozkoszy" : (garść luźnych uwag)

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 15/1/4, 316-339

1917

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

All' Illustre Signore

II Sig. *Pietro de Canavelli*.

Pan Pietro de Canavelli, Dalmatyńczyk.

Jan III z łaski Boga Król Polski, Wielki Książę Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Żmudzki, Kijowski, Włodzimierski, Podolski, Wołyński, Smoleński, Siewierski, Czernichowski itd. itd.

Szanowny Panie! Książę Lubomirski Marszałek Wielki Królestwa naszego, powróciwszy z Włoch, doręczył nam ze strony pańskiej parę utworów poetyckich, które przyjęliśmy w najwyższym stopniu przychylnie, bo podziwiali dla elegancyi stylu i myśli podniosłych, jakimi je Pan (o) zdobi (teś). Tymczasem niech Wpan będzie pewny, że nie mógł nam sprawić większej przyjemności, jak pozwalając poznać artystę swojej mowy, któremu odpowiemy zawsze i w każdej konjunkturze (ku) jego zadowoleniu i [owszem] przyczynimy się doń z całej duszy zawsze i kiedy nam Pan poda środki (sposobność) potemu. Tymczasem niech Was Pan nasz zachowa.

Jaworów, 16. Maja 1687.

Jan Król.

Franciszka Zabłockiego: Król w kraiu rozkoszy.

(Garść luźnych uwag).

Król w kraiu rozkoszy nie jest dotąd publikowany, jakkolwiek Zabłocki sam do druku go przygotował. W ostatnich latach życia przygnębiony i zobojętniały nie wyrusza prawie poza płoty i rowy swej wiejskiej siedziby, stroni od ruchu na szerokim świecie, który przestał w jego oczach mieć urok i powab; dawny światowiec i wesoły towarzysz otacza się księgami nabożnymi i pisze dla swych parafian niedzielne kazania, staje się typowym plebanem-wieśniakiem. Koszyk z jajami, króbkę miodu, wory napełnione krupami, zapasy wędzonki i słoniny Niemcewicz po swoim drugim powrocie z Ameryki zastaje w paradnym salonie, odwiedzając dawnego znajomego Puławczyka.

Niekiedy przecież (n. p. w r. 1809 na wieść o zwycięstwie oręża polskiego pod Raszynem i przyłączeniu części Galicji do W. ks. Warszawskiego) budzi się duszpasterz końskowolski ze swego odrętwienia, odkłada brewiarz, pisze ulotne wierszyki, które jednak po przeczytaniu zaraz niszczy, albo otrząsa z pyłów i pajęczyny rękopisy dawniejszych, niedrukowanych pism swoich, gorączkowo przegląda i poprawia, jakby chciał ułatwić pośmiertne ich wydanie. Bruliony Zabłockiego bywały gęsto kreślone, za-

gmatwane, nawet niecałe, urywkowe, — wręcz szkaradne, jak o tem świadczy pierwotny rękopis *Gamrata* w kodeksie oprawnym Biblioteki XX. Czartoryskich w Krakowie, opatrzonym sygn. 2483. Trzeba było koniecznie czystopisów!

Więc przed śmiercią, „będzie to ku naganie, czy ku... sławie“, pochylony wiekiem poeta składa w puławskiej bibliotece pałacowej staranne, czytelne i poprawne manuskrypta pięciu utworów dramatycznych, które wśród pozostałej spuścizny swego dorobku twórczego, wówczas wciąż jeszcze niewydanej, za najgodniejsze ogłoszenia drukiem uważał. Były to: *Sarmatyzm, Małżonkowie poprawieni, Małżonkowie pojednani, Pasterz szalony, Król w kraju rozkoszy*. Druku *Gamrata* czyli *Małżonków poprawionych przez żony swoje* (1782) i *Sarmatyzmu* (1784) doczekał się twórca: na rok bowiem przed jego skonek wyszły w Wilnie (1820) nakładem Aleksandra Żółkowskiego w wydaniu, jak się zdaje, dokonaniem z jakiejś kopii warszawskiej. Obie te komedye, ale już według manuskryptów puławskich, razem z *Małżonkami pojednanymi* i *Pasterzem szalonym* wydrukował (niestety bardzo niedokładnie i niedbale; — Szydłowski już zżymał się na to! Wizerunki i rozstrząsania naukowe, poczet nowy, drugi, t. 7, Wilno 1839) Dmochowski w swem zbiorowym wydaniu *Dzieł Zabłockiego* (Warszawa, 1829—30, tomów 6). pomijając zupełnie go dla „ślizkości przedmiotu i zbyt wolnych żartów“. Zastanawia ten skrupuł w owych czasach. Pisano i drukowano „tłustsze“ rzeczy, któremi delectowali się specjalnie amatorowie!... A dziś tak już nas wytresowali niektórzy mistrze i twórcy, tak że „ślizkością przedmiotu“ oswoili, że utwór sceniczny Zabłockiego wydaje się nam dość niewinny i skromny.

Brodziński tę „zapustną komedye“ nazwał „igraszką szydzącą z wszelkiej krytyki i z dziecinnym uśmiechem wymuszającą pobłażanie“. Sąd dość trafny. Tylko na wyraz „pobłażanie“ trudno się zgodzić. Ta igraszka, rzucająca rękawicę wszelkiej (powiedzmy) śledzienniczej hyperkrytyce, pobłażania nie potrzebuje; krytykę prawdziwą, rzeczową wytrzyma; z niebyle jakiego rodzaju się wywodzi.

Piotr Chmielowski, chociaż nie znał oryginału, zorientował się odrazu, wietrząc w pomysły i budowie doświadczone mentorstwo francuskie. Nie razi go też wcale treść rzekomo nieprzyzwoita. Oto co pisze w noworocznym (1890) numerze Kurjera warszawskiego: „Wartoby odszukać rękopis i ogłosić go drukiem, ażeby bliżej poznać sztukę, w której zapewne po raz pierwszy u nas występowały istoty fantastyczne, co prawda, nie z naszej ludowej mitologii wzięte, „owe gnomy, sylfy i salamandry!... Byłby to przyczynek ciekawy do historii przetwarzania się pojęć klasycznych w literaturze naszej na t. zw. romantyczne“. Szkoda, że znakomity krytyk i badacz literatury nie zdołał dotrzeć do

właściwego źródła *Króla w kraju rozkoszy*. Był na dobrym tropie! W szerokim widnokregu jego poglądów sprawa wyświełliłaby się wszechstronniej, doznałaby oceny przynależnej przedmiotowi a szczegól, że to jest „komedia zapustna“, umiejętnego uwzględnienia i zaakcentowania.

Maryanowi Gawalewiczowi udało się, jak sam pisze (*Franciszek Zabłocki, szkic biograficzno-krytyczny*, Kraków, 1894) odzyskać ową nieznaną komedię w jednym z prywatnych zbiorów i przekonać, że nie jest ona pracą oryginalną, lecz przekładem francuskiej sztuki Marka Antoniego Legrand'a *Le roi de Cocagne*; dalej, że nie opłacało się tłómaczyć Zabłockiemu utworu autora, który jako aktor znosił częste nagany, jako twórca zaś niemniej często na to zasługiwał; a jeżeli Zabłocki przekładu dokonał, to nie dla wartości oryginału, ale dla nadarzonej okazji wyrzucenia kilku satyrycznych pocisków w stronę, w którą otwarcie godził mu nie wypadło.

Zabłocki niewątpliwie miał specyficzną zręczność we wyszukiwaniu obcych utworów, które w jego tłómaczeniu czy przeróbce stawały się doskonałymi, pieprzem ironii i satyry zaprawionymi obrazami obyczajowymi; najlepszym dowodem *Fircyk w zalotach*, a także poniekąd *Zabobonnik*. Sąd atoli wygłoszony o Legrandzie i jego twórczości jest nieogledny, zbyt wązkotorowy. Pomijając tę okoliczność, że można być lichym aktorem a przecieź utalentowanym twórcą i odwrotnie, szczególnie co do „Władcy Kokanii“ pochop wygłaszania sądu bez zastrzeżeń ujemnego trąci jednostronnością, brakiem rzutkości spostrzegawczej na dalszą metę. Napotyka się zresztą zdania diametralnie odmienne. Scherr n. p. wspominając o Legrandzie (*Allgemeine Geschichte der Literatur*) dodaje uwagę: „...dessen König vom Schlaraffenland (*Le roi de Cocagne*) ausgezeichnet ist“.

Sztukę Legrand'a tylko wtedy oceni się sprawiedliwie i z właściwego stanowiska, jeżeli uwzględni się należycie jej rodzaj. Jestto przecieź jedna z licznego szeregu znanych i lubianych swego czasu na zachodzie powszechnie fraszek mięsopustnych (*divertissement du carnaval; Fastnachtspiel*) a jako taka, i to w ładnym, strojnym (mówię o oryginale Legrand'a) kostymie literackim, i dziś jeszcze (zdaniem mojem) nie tylko czytania lecz nawet wznowienia na scenie warta.

Francuscy autorowie dobijając się wziętości, rozgłosu i sławy nie zawsze szukali wawrzynów na scenie dzierżącej oficjalnie monopol literacki. O ile wyłamywali się z pod brzemienia utartych przepisów klasycznych, skoro ich muza chciała pobujać swobodniej, wówczas nie gardzili gościna na scenach innych, n. p. w „Théâtre italien“, a nawet koczowniczych. Lesage, Piron, niemniej Régnard, Favart z uśmiechem tryumfatorów wychodzą z poza kulis jarmarcznych (*de la Foire*) by zbierać oklaski. Nawet taki arystokrata Parnasu jak Marivaux, mający na zawołanie wolny

wstęp i chętnie przyjęcie w „Comédie française“, dostarczył dla tegoż areopagu artystycznego (jako théâtre réglé) utworów 9, u Włochów zaś wystawił aż 23! I te właśnie, niekrępowane względami i regułami, pomiędzy płodami jego twórczości są najznamienitsze; w nich Marivaux jest najwięcej sobą. Nie dziw, że i Legrand pogonił za szczęściem i powodzeniem na scenę „forestière“ i tu zręcznym skokiem z trampoliny Króla Kokanii wyzwolił na bohatera komedyi literackiej.

Znamienne jest w literaturach zachodnich, zwłaszcza francuskiej, szeroko rozgałęzione spadkobierstwo czy dziedziczne zapożyczanie motywów dramatycznych. Wybitni nawet autorowie sceniczni nie zawsze liczą się ściśle z pojęciami „moje“, „twoje“. I tym razem rozzwiera się wdzięczne pole do nader ciekawych badań porównawczych. Jeżeli Moliere pisząc komedię „La princesse d'Élide“ nie pogardził źródłem hiszpańskim t. j. utworem Agostina Moreta „El desden con el desden“, to trudno winić o niezupełną oryginalność, chociażby z drugiej ręki, komedyopisarza-trampoliniarza. Opierając się na udzielonej mi łaskawie przez prof. dra Wiktora Hahna wiadomości, zniewolony się czuję uzasadnić rzeczowo, com powiedział powyżej, mianowicie, że „Król Kokanii“ z niebyle jakiego rodzaju się wywodzi. Otóż Legrand naśladuje Jana de Rotrou („La baigne de l'oubli“, 1628), ten zaś przejął pomysł z komedyi Lope de Vegi: „La sortija del obvido“, 1619. O ile Rotrou zależny jest od mistrza hiszpańskiego, a Legrand od swego bezpośredniego wzoru, to zadanie osobnego studium, wychodzącego znacznie poza ramy niniejszej notatki, która z konieczności ograniczyć się musi wyłącznie do kilku luźnych uwag o stosunku naszego Zablockiego do swego francuskiego mentora. Dość nam na razie wiedzieć, że „Król w kraiu rozkoszy“ nie tylko układem kompozycyjnym lecz także rodowodem swoim blizki jest szczytów Parnasu. W kronice jego rodzaju napotykamy analogię do „Samochwała czyli amanta-wilkołaka“ ocierającego się w swej zepsutej przez jednego z pośredników francuskich (La Tourneur dokonał przekładu, Collot d'Herbois przeróbkowej amputacji przekładu. — Stanisł. Estreicher: Szekspir w Polsce XVIII w., Kraków 1892) i dla tego nieliterackiej, mało wartościowej formie aż o „Wesołe kumoszki“ Szekspira.

Géniot spogląda z góry na Muzę trywialną, którą ma za bastarda. Muza zapewnia jednak, że dla niej opuszczano niejednokrotnie scenę Talii i Melpomeny.

Et même en dépit d'Apollon
 Je me suis établie au pied de ce vallon...
 Je ne dois même ma naissance
 Qu'à certaine espèce d'Auteurs,
 Qui, n'ayant jamais pu jouir des avantages
 De voir achever leurs ouvrages

Sur un Théâtre réglé
 De bon goût du public ont enfin appellé
 Au Tribunal peu sevère
 De la scène forestière:
 C'est la que, sans peur des sifflets,
 Ils ont su se donner carrière
 D'une manière libre autant qu'extravagante...
 (Prolog, scena 1).

Czytając utwór mięsopustny Legrand'a uważnie, zwłaszcza także prolog, pominięty zupełnie przez Zabłockiego a niezauważony, jak się zdaje przez krytyka-odkrywcę, który może zbyt wyłączenie zagłębił się w lekturze tekstu polskiego, mimowoli ulegamy wrażeniu, że podobnie jak Guillot (Gamoń) zaproszony na tron przez obłąkanego chwilowo władcę Kokanii, otrzymał królewską koronę, — i Plaisantinet strąciwszy niejako w bagno trywialności dumnego Géniota, sam króluje na Parnasie nie gorzej od niego. Grabiec-pijanica również zdobywa królewską koronę ironią przypadkowości; niestety króluje po błazeńsku. Inny miał cel na oku Słowacki, jako poważny tragik, inny Legrand jako „trywialny“ twórca-śmieszek. Dowód to jednak, że motyw przejścia korony królewskiej w niewłaściwe ręce, czy na niewłaściwą głowę, może być wyzyskany i w komedyi i w tragedyi romantycznej. A u dawnego naszego Piotra Baryki metamorfoza chłopa w króla czyż nie jest motywem pokrewnym?..

Kokania to owa szczęśliwa kraina, o której już w latach dziecięcych słuchaliśmy z zapartym oddechem cudownych baśni, a dziś w prozie życia skąpani, wydobywszy się na chwil kilka z szarego, przyniatającego widnokregu codziennych trosk i kłopotów, zapomniawszy o zgryzotach i przeciwnościach, witamy z uśmiechem zadowolenia wieść dawną, bajeczną, opromienioną humorem i dowcipnymi wybrykami karnawałowej maskarady; — to miniaturowe królestwo, w którym dla obywateli wszystko na zawołanie, w pogotowiu do usług, bez trudu, pracy i znoju:

...gdy komu ubrać się podoba,
 Idzie w gaj, jest gotowa w gaju garderoba;
 Chce jeść czy pić, co czyja może spragnąć wola,
 Kuchnia, piwnice, pełne ich są lasy, pola...

Z źródeł nie tryskają tu strumienie wody, lecz najstarszego, szczerozłotego wina. Gmachy, pałace, sterczą zbudowane z cukrów, marcypanu i ciast najprzedniejszego gatunku. Zamiast deszczów lub śniegu spadają cietrzewie, kuropatwy, jarzabki, kwiczoły, bekasy, a dla żarłoków pospolitych nawet pieczone barany, woły, cieleta. Nie wszystkie oczywiście specjały kulinarne przypadłyby do gustu zwykłym, normalnym smakoszom cywilizowanej Europy; podają tu bowiem do stołu i pająki, glisty, żaby, polipy, śli-

maki... Ależ bo Kokania jsst ojczyzną wszelakich niespodzianek i osobliwości! To fantastyczne państwo, zwane we Francji także Utopią, w Niemczech skromniej Schlaraffenland, gdzie w dzień i w noc ustawicznie się biesiaduje, gdzie się nie orze, nie sieje, gdzie nieznanne są spory i zwady, nieznanne cierpienia i choroby, niema wykretnych jurystów i „szkodliwszych nad nie eskulapów“, — to państwo ma wspaniałe, czarowne ogrody, w których, przeznaczone dla Króla Jegomości, rosną w postaci żywych kwiatów urodziwe dziewice czekające uszczknięcia, ma obywateli o czterech odmianach rodowych, którzy mimo różnicy pochodzenia tworzą jednolite, zgodne społeczeństwo! Sylfy żyjąc w powietrzu polują na ptaki, Gnomy na ziemi czworonogom sidła stawiają, Najady pod powierzchnią wód zwierciadlanych są rybakami; to wszystko, „gdy się celne z podłego wybierz“, odnoszą do nadwornej kuchni Salamander w ogniu tylko mających domowe siedliska i „żadnym ogniem niepożytych“, dla tego też mistrzyń kulinarnej sztuki niezrównanych, „tu się sosuje, dusi, warzy, zagniała, przyprawia“, aby zaspokoić najwybredniejsze apetyty.

Słowem wszyscy w Kokanii są syci, zadowoleni, szczęśliwi. Tylko Król, władca kraju, jakkowiek wesoły, dobry, gościnny, przez poddanych kochany i szanowany, ma przecież jedną troskę. odczuwa przesyt, nudę; dość ma biesiad, zabaw, rozkoszy, dość posiadania wszystkiego, czego zapagnie, bez trudu, fatygi i starań, dość życia z dnia na dzień, bez celu. Sprzykrzyła mu się przedewszystkiem automatyczna miłość dziewcząt-kwiatów, spłacana jak haracz lub podatek, zdobycz osiągnięta bez walki i oporu.

Przywoływa więc głównych swych dwu ministrów i odbywa z nimi naradę, czyby na pewien czas nie usunąć się od rządów i steru państwa nie powierzyć ich kierownictwu, zejść w gwar świata i w rojnym tłumie ludzi, wśród pracy i zajęć oswobodzić się z pęt gnuśności, odnaleźć świeżość umysłu, energię, chęć czynu. Ale zdania mądrych mężów stanu rozbieżne, sprzeczne. Sam Król zresztą niezdecydowany, chwiejny: znudzony i pełen przesyty chciałby rzucić wszystko, jednakże mimo nudy żał mu pozbywać się korony i tronu, bo przecież panowanie to „rzecz piękna“.

W tym okresie przełomowym monarszego życia zjawiają się na kokańskiej ziemi obcy przybysze, by tu zagościć, poznać miejscowe cuda, o których tyle słyszeli; a zjawiają się po wielu przygodach i wędrówkach jako podróżnicy drogą powietrzną, jak ptaki. Dziś taka jazda lotnicza nie byłaby czemś tak bardzo nadzwyczajnem. Za czasów Legrand'a a i Zabłockiego, potrzeba było na to czarodziejskiej sztuki Alzora (Alquif'a).

Zanim nastąpiło etykietalne przedstawienie gości, Król właśnie odbył przegląd najświeższych, przez Hortulana i Floribela wykordowanych „żywych kwiatów“. Jestto scena liryczna: śpiewane

intermezzo i balet zarazem. Przesuwają się przed oczyma widza oprócz innych, mniej znanych, egzotycznych okazów „Lilia“, „Chryzantem“, „Amarant“, w milczeniu; śpiewają natomiast głosząc swe przymioty „Róże“, „Aster“, „Fiołek“, „Maczek“, „Anonima“.. Z nadejściem oczekiwanych przybyszów urywa się ta wsuwka baletowo-operowa czy operetkowa. Król ujrzawszy Ludwilę (Lucelle'ę), infantkę Trebizondy, narzeczoną wędrownego rycerza Filandra, od razu zapalał niepohamowaną miłością, tem silniej i bardziej żywiołowo, że napotkał to, czego dotąd nie zaznał: opór i obojętność. Zdobywcę utrudnioną podnieca jego natarczywość do tego stopnia, że Filander zmuszony jest stanąć w obronie zbyt „obcesowo“, zbyt po „kokańsku“ traktowanej Ludwili i dopuszcza się „obrazy majestatu“ wobec władcy gościnnego kraju. Akt pierwszy kończy się uwięzieniem narzeczonej w sypialni królewskiego pałacu i odprowadzeniem narzeczonego do turmy.

Rozpoczyna się teraz w interesie oswobodzenia więźniów akcja czarodzieja Alzora, zasadzająca się na zręcznym i docieplnym użyciu cudownego pierścienia. Osoba mająca go na palcu popada w chwilowe obłąkanie. Alzor jako „spiritus movens“ intrygi posługuje się „giermkciem i śmieszkiem“ Filandra Baraszem (Zacorinem). Zdjąć pierścień monarszy z królewskiej ręki a wsunąć niepostrzeżenie na palec zupełnie podobny czarodziejski surrogat, — oto zadanie wykonawcy. Zamianowany przez podnieconego miłością ku Ludwili Króla co tylko podczaszym, Barasz ma sporo sposobności do bezpośredniej asystencji i stara się wyzyskać ją przy umywaniu rąk królewskich, kiedy pierścień się odkłada. Po scenie przyjęcia przez Ludwilę przeznaczonych jej na damy dworu Felicji i Placylli (Felicyny i Fortunaty) o których przeszłości dowiadujemy się z ich, własnych ust bardzo — bardzo interesujących szczegółów budoarowych roztacza się przed nami malowniczy, efektowny i udatny pod względem scenicznego zaaranżowania spektakl uczy. W takt muzyki symfonicznej Sylfy i Salamandry schodzą z góry, niosąc potrawy; stół zastawiają Gnomy i Najady; fontanny tryskają winem w przystawione do nich naczynia; siedzącego obok Ludwili Króla otaczają urzędnicy korony i świta. Jestto niejako punkt kulminacyjny dramatycznego napięcia: zawiązuje się węzeł, którego trudne i skomplikowane rozwiązanie wypełni dalsze i końcowe sceny zapustnego widowiska; ma się dokonać wsunięcie na sygnetowy palec królewski zaczarowanego pierścienia.

Pierwsza próba zniewolenia Króla do umycia rąk zawodzi. Król, zajęty wdziękami Ludwili, myśli tylko o tem, by jak najprędzej odbył się obrzęd ślubny; spieszy się i pomija ceremonię rękomycia. Nie udała się i druga próba, gdy Barasz udając znawcę-specjalistę chwytając monarchę za rękę, podziwia przedziwny blask i wspaniałość dyamentu w sygnecie i kicha na rękę królewską; Król wyłajawszy pana podczaszego-mazgaja obciera sobie

rękę serwetą. Przy podaniu toastowego kielicha napełnionego winem również nie nadarza się właściwa pora do spełnienia zamiaru Barasza. Tymczasem występuje Kwiat-Róża i śpiewa poświęcony Ludwili a napisany przez samego Króla hymn weselny, inaugurując nowe, krótsze intermezzo muzyczne. Staje też do popisu śpiewaczego jeden z nadwornych ogrodników: Hortulan, którego oryginalnej nader pieśni po kolei towarzyszy śpiew słowika, potem gwizdanie kosa a wkońcu kukanie kukułki. Wreszcie nadchodzi minister Frykasy (Ripaille) z oznajmieniem, że Wielki Kapłan czeka przy ołtarzu i wszystko do ślubu przygotowane. Ludwila w rozpacz. Nie widzi dla siebie żadnego wyjścia z matni. Lecz oto wybiła godzina zbawcza! Chciwy Frykasy korzystając z dobrego humoru Króla podaje do podpisu asygnatę na przeznaczone mu w nagrodę pięć tysięcy czerwieńców. Barasz wywraca kałamarz, brukając atramentem i dokument i piszącą rękę królewską. Upragnione mycie rąk dokonano się! Tajemniczy pierścień Alzora drogą skrytej, zręcznej zamiany przechodzi na sygnetowy palec kokańskiego Władcy.

Skutki objawiają się natychmiast. Gaśnie wabiący urok Ludwili w oczach obłąkańca. Barasz awansuje na Księcia i poufnego doradcę. Frykasy zamiast czerwieńców zgarnia ostrą nagane, że za wierność żąda zapłaty i popada w niełaskę. Ludwila prosi o wypuszczenie swego narzeczonego z turmy. Król jak najchętniej godzi się na to, dziwiąc się, że go tam uwięziono. Niestety zdejmuje fatalny pierścień, podając go Ludwili, aby za jego okazaniem tarasowy rozwarł natychmiast więzienną bramę!... I tak oto u kresu aktu drugiego z nowem wytężeniem zaciękania oczekujemy dalszych niespodzianek i zawiązań, skoro czarodziejski, zdradziecki klejnot znalazł się w ręku Ludwili.

Król mimo pozbycia się pierścienia nie odzyskuje odrazu świadomości tego wszystkiego, co się stało, ponieważ nadmierne wychylanie kielichów doskonałego kokańskiego wina sprawiło, że go musiano ułożyć do snu. W czasie, kiedy „kołysał go Bakchus a utulał Morfeusz“, można było obmyśleć nowe sposoby wyrównania niebezpiecznej dla kochanków sytuacji. Rzecz utrudniona ironią przypadku. Oto Ludwila, uwolniwszy z turmy swego kochanka, wkłada pierścień na palec i popadłszy w obłąkanie prześladowuje natarczywymi objawami wykolejonej miłości wykonawcą Alzorowej intrygi, Barasza. Dochodzi do najzawilszych kollizyi! Jak miecz Damoklesa wisi nad głowami przybyszów zbudzenie się Monarchy...

Uwolniony Filander, nie umiejący sobie wytłómaczyć zmiany uczuć w sercu Ludwili i Barasz, cel niespodzianych pocisków Amora, znaleźli się wreszcie, co było do przewidzenia, w nieuchronnej konieczności bezpośredniego starcia się z grozą przeciwnieństw i zupełnego udaremnienia wszelkich zabiegów. Lecz zanim przebudzony władca Kokanii, stawszy się mimowolnym

świadkiem czulego tête à tête Ludwili z Baraszem i spotkawszy Filandra, którego osadził w turmie, by mu nie zawadzał, a teraz widzi przez kochankę odrażonego, — zdołał opanować swoje zdumienie i dać upust wezbranej fali monarszego gniewu, Barasz zmieniając taktykę, udaje wobec Ludwili tkliwą wzajemność i wyłudza pierścień jako zadatek narzeczeństwa. Pierścień za chwilę znalazł się ponownie na sygnetowym palcu królewskim: nastąpiła, by użyć wyrażenia Alzora, „gorsza od choroby pierwszej re-cydywa“.

Zrazu budzi się w obłąkanym Władcy wielka wojowniczość. Zdaje mu się, że Wielki Moguł, Lama i Sułtan z trzech stron nachodzą granice jego państwa. Sułtana lekceważy: niechże mu przyśle sto dziewcząt, on mu tylko dwie wystawi; klub kobiecy rozstrzygnie, kto z nich obu mimo tak nierównego mozołu będzie zwyciężcą; uczeni kronikarze krajowi unieśmiertelnia potem zwycięzcę imię. Przeciw tamtym najezdom trzeba jak najpospieszniej z chłopców i dziewcząt formować bitną armię, ustawiać szpizowe armaty, przygotowywać hakownice... Gromkim okrzykiem: „Na wały, na szanice, za mną wiara“ — Monarcha tak się wyczerpuje, że nagle urywa swą tyradę bojową, staje jakby w odrętwieniu i popada w ekstrem przeciwny: mianowicie wznawia się w nim i potęguje nuda a z nią chęć pozbycia się korony i władzy.

Więc Gamonja (Guillot'a), „liczebnego dworskiego“ Ludwili, którego już przedtem, w chwili pierwszego swego obłąkania, zamianował podskarbinem koronnym, zaprasza na tron i jemu hołdy królewskie oddawać nakazuje. Ciekawy jest program sterowania nawą państwową, który zakreśla sobie maskaradowy władca: Piwnica, kuchnia, spanie wygodne, zabawy i dziewczęta to fundament panowania.

A Naród? trzeba także coś i dla Narodu...

Chronić go od ubóstwa, wojny, moru, głodu

Sam nie zmożę, chociażbym rozdarł się na części — —

Niechże sam o tem myśli i niech mu się szczęści,

A co mojej królewskiej osoby się tycze,

Czyż w tem nie ma dość szczęścia, że mu przewodniczę,

Że mu świetność nadaję? Niech go to więc krzepi,

Że mu chęć dobrze, chociaż sobie zawsze lepiej,

Otóż to tyle z siebie daje i przyrzeka

Ojcowska dla Narodu Monarchy opieka!

A który więcej żąda, nie ojca w tem wina,

Że niesytego w swoich żądaniach ma syna.

Cóż dalej?... Będę siedział w krześle jak w kolebce;

Obstąpią mnie dworaki, zazwyczaj pochlebce;

Będą szeptać do siebie...

Jakbym wszystkich ich rozmów ja był cel jedyny,

Jakbym ja serc powszechnej miłości był kresem,

Gdy, co prawda, tchnie swoim każdy interesem.

Będą się wreszcie we mnie wpatrywać jak w tęczę,
 Ja zaś, abym którego z nich widział, nie ręczę. —
 Jak dotąd, dość pożytków z królowania widzę;
 Ale jak czasem mówić przyjdzie, a pobrydzę?...
 Niczemom się nie uczył, straszne pustki w głowie...
 Wszystko, co mówię, mówią rozumnie królowie!
 I w stosunku rozumu, jeśli szkoła która
 Może zwać się mistrzynią ludzi, to purpura.

Program ten znajduje aplauz i uznanie obłąkanego Władcy Kokanii, który mówi do Barasza :

Słowa te ryc w marmurze, w śpiżu, nawet w złocie.
 Jaka bystrość rozumu przy serca prostocie,
 Nadewszystko znajomość wszystkich ludzi stanów!
 Słowem widać, że ze krwi zacnej, że pan z panów.
 Wart moim być następcą, bo w czucia sposobie
 Podobniejszego, jak on, nie widziałem sobie...

Niestety adoracya Gamonowych zalet jako monarchy niebardzo trwała! Dla dopełnienia stroju królewskiego i powagi Władca-rezygnant zdejmując pierścień, rozkazując ministrowi Frykasemu wręczyć go oficjalnie Królowi-sukcesorowi. Chociaż Frykasy, nie mogąc pogodzić się z myślą, by prosty człowiek z gminu poniżał dostojęstwo władzy i tronu, pierścienia Gamonowi nie podaje, zmienia się przecież położenie o tyle, że Władca Kokanii, dotąd obłąkany, odzyskuje normalną przytomność umysłu. Spostrzegłszy na tronie swym intruza, woła rozgniewany :

Kto posadził, kto podniósł na tron tego szuję?
 Dobrze?... Sam za się powiedz, co robisz!

Doskonale pod względem ironii i satyry robi wrażenie naiwna odpowiedź Gamonia: „Króluję“.

Kollizye i zawikłania spiętrzyły się do tego stopnia, zmieszanie pozorów z rzeczywistością, gmatwanina ogólna tak wielka, że trudno z tego chaosu wybrnąć zwykłą drogą dramatycznego rozwiązania; dokonywa się tedy gwałtowne przecięcie węzła per deum ex machina I tu tkwi wadliwość konstrukcyjna w budowie komedyi. Akt trzeci i ostatni, jakkolwiek mimo wszystko zajmujący, gorszy jest od poprzednich.

Mądry Sztufada (Bombance) minister-marszałek, domyśla się w tem, co zaszło, sił nadprzyrodzonych. Potwierdza to przed Królem Alzor, przedstawiając się jako czarodziej, któremu na każde skinienie służy potężny Demon Kako. Król przestraszony reflektuje się, a nie chcąc podejmować walki z mocami mściwych Duchów, uwalnia Filandra i Ludwilę.

...Wszystkich wracam do milej swobody.

(Do Filandra i do Ludwili)

Wam Jutrzenka przyświeca, wasze teraz gody;
Jeśli was samem trwaniem szczęście nie utrudzi,
Przy cnocie, jedna miłość uszczęśliwia ludzi.

Tu wygłasza Barasz końcową refleksję, niepozobawioną bolesnej alluzji:

Otóż to w piękny sposób wszystko iść zaczyna —
Bodaj Król taki, bodaj tak zacna kraina,
Gdzie serca namiętnością męski rozum włada,
Gdzie z płci pięknej zabawa, z ludzi mądrych rada,
Gdzie w górę nikt się nie pnie, lecz Rzeczpospolita
Sama wieńczy zasługę, sama o nią pyta,
Sama podwyższa. Słowem bodaj w tym Narodzie,
Gdzie z g o d a !... lecz to mara, zamilczmy o zgodzie !

Do właściwej komedii dodany jest liryczny epilog. Śpiewają z kolei po jednej strofie: Placylla, Felicja, Filander, Ludwila, Barasz, Frykasy, Sztufada, Król, Gamoń i Alzor. Treść poszczególnych strof, zestrojona z charakterem śpiewającej osoby, zawiera aforyzmy, dotyczące rozmaitych stron i zagadnień życia ludzkiego, objaśniające tem samem poniekąd myśl i zamiar autora komedii. Bardzo ładna jest n. p. strofa Felicji, damy dworskiej, która za młodu lekceważyła zaloty i starania ubiegających się o jej względy młodzianów; gdy zapragnęła miłości, było już za późno, adoratorowie odbiegli.

Dżdżem i rosą drzewko rośnie,
Słońce je wzmacnia, gdy grzeje,
Ogrodnik patrzy radośnie
Na wdzięcznych kwiatów nadzieje:
Rychło owocem porośnie.
Wtem burza nagła zawieje,
Kwiat spada, ogrodnik w smutku:
Tak było w moim ogródku.

Najslabiej, dziwnym trafem, wypadła zwrotka, którą śpiewa Filander:

Dwa tym światem bóstwa władną:
Hymen z Kupidem kolejną;
Nie stłumieni mocą żadną,
Nie poścignieni nadzieją
Serca ludzi chętnie kradną;
Stąd płacz na nich, stąd się śmieją.
Miejmyż rozum *przewodniczym* (sic!),
A te bóstwa będą niczem.

Lepiej udał się aforyzm Ludwili o daremnych zalotach i bezcelowem uganianiu się za marą rozkoszy i miłośkami tam, gdzie niema lekkomyślności, niewiary i zdrady.

Niezły, a zaprawiony przejrzystą alluzją jest śpiew Króla, objaśniającego obcym przybyszom psychologię i charakter kołańskiego społeczeństwa: na rozkosz i próżniactwo piorunują wszyscy, dużo i rozumnie na ten temat się rozprawia, ale nikt nie ma siły, ani szczerzej chęci z ich więzów się oswobodzić i zdanie swoje przypieczętować czynem.

Kto się bawi, kto się nudzi,
Wada to nie kraju, lecz ludzi.

Mądrość ministra Sztufady ujawnia się w wyszukanych i z tego powodu niebardzo zrozumiałych przenośniach mitologicznych, sprowadzonych do wielce budującego (czegoż tedy więcej Dmochowski i Gawalewicz od autora „Komedyi zapustnej“ wymagać mogą?) morału, że stronić od rozkoszy

..... jest prawdziwie
Życ rozkosznie, żyć szczęśliwie.

Kapitałne są epilogowe refleksje Gamonii:

Ludzie jedni, kraje różne,
Każdy kark ma swoją głowę:
Jedne pełne, drugie próżne;
Ja z obu miałem połowę,
Lecz przez szczęście źle usłużne
Ni w tę mi stronę, ni w owę:
Król jest w głowie, dziad w kieszeni,
Tak się człowiek, tak świat mieni.

Scena liryczna dobiega kresu poważną sfrofą, śpiewaną przez czarodzieja (czy nie naprawdę filozofa?) Alzora:

Gdzie jest światło rozniecone,
Tam cień błędnie, niema mroku;
W którą rozum spojrzysz stronę,
Niknie moc czarów, uroku.
Ten los i prace uczone
W waszym niech znajdą wyroku:
Niech mają wasze oklaski
Z wartości swojej, nie z łaski.

Z tej enuncjacji czarnoksiężnika-filozofa dolatuje do naszego ucha jakby echo obaw i niepewności samego twórcy komedyi, zaczajonego za kulisami, czy będzie zrozumiany, przeświadczony jednak i świadomego, że mimo pozorów jarmarcznego lino-skoczka do swego dzieła zabrał się z rozwagą i artystycznym

zamiarem. Inna rzecz, że nie ze wszystkim zadaniu swemu sprostał. Bądź co bądź opłaciło się Zabłockiemu utwór Legrand'a tłómaczyć czy przerabiać, nie tylko dla rozsypania iskier satyrycznych alluzji, ale i dla tego, że chociaż nie jest arcydziełem a epitet Scherra „ausgezeichnet“ trąci może do pewnego stopnia hiperbolą optymizmu, to przecież niezwykłością pomysłu, oryginalną wielce, wcale nietuzinkową koncepcją i umiejętnem wyzyskaniem pierwiastków baśni rozkoszny *Władca Kokanii* wdziera się gwałtem na szczyty Parnasu, wyrasta znacznie ponad zwykły dell'artyzm „trywialnej“ Muzy mięsopustnej. Dziś, kiedy wiemy, że komedye główne Zabłockiego, które uchodzą za oryginalne, są tylko przeróbkami, przynajmniej otwarcie, co przyznać należy: Skoro dostał się zaszczytu przeróbkę Romagnési (*L' Superstitieux — Zabobnik; La fille arbitre — Dziewczyna sędzią*), to Legrand ma za sobą prawo z pewnością daleko większe i słusniejsze. Nie chcę poruszać sprawy „Fircyka w zalotach“; gdyż jeżeli pod firmą Romagnésiego nie ukrył swego nazwiska autor inny, wybitny, to *Le petit-maître amoureux* w twórczości autora miernego i jeszcze mierniejszego aktora, któremu u Włochów powierzano rolę odzwiernego lub pijanicy, — jest wyjątkowym gestem szczęśliwej chwili, „ein glücklicher Griff“, bo i takie cuda zdarzają się niekiedy.

Wracając do satyrycznych alluzji muszę się zastrzedz, że nie znalazłem ich tyle tak silnie zaakcentowanych, jakby to ze słów Gawalewicza (*Franciszek Zabłocki, szkic biogr. kryt.* str. 78) wynikało. Mało co więcej ponad to, co powyżej cytowałem. Prawie to samo zresztą i w tej samej ilości znaleźć można w oryginalne Legrand'a, w innym, co prawda, delikatniejszym, miśnierniejszym, bardziej wypolerowanym wystylizowaniu. Nie godzą też te alluzje tam, gdziebyśmy ostrzejszego uderzenia spodziewać się mogli!... Umyślnie podałem streszczenie komedii obszerniejsze, bardziej w szczegóły wnikające. Połując na owe alluzje prześledziłem w tekście przeróbki Zabłockiego wszystkie jary, jamy i ustronne gąszczce; zapuściłem się nawet na skraj ugorów epilogowych. Przytoczę w tem miejscu chyba jeszcze dodatkowo monolog (akt III, scena 6) powtórnie obłąkanego Króla:

Nie wiem, jak kto, ja tym się majestatem męczę;
 Korona, jakby głowę okuto w obręcze,
 Ręce od berła mgłęją (sic!) a długość odzieży
 I paludament... choćby chciał Król, nie pobieży;
 A tu codziennie i rocznie z pospolitą rzeszą
 Sam w pewnych sprawach musi koniecznie iść pieszo.
 A kobiety? Co z niemi nie w jednym stosunku
 Kłopotu, utrapienia, zgryzoty, frásunku:
 Płotki, intrygi, nigdy proste, zawsze krzywo,
 Zawsze zdradnie, a z twarzą jakoby życzliwą,

Z umizgiem, z przymileniem, a nienasycone; --
 Gdyby mogły, z głowy mi zdarłyby koronę...
 A Naród? Przebaczyłbym pomniejsze w nim wady,
 Że lubi rozkosz, że mnie Króla wziął przykłady;
 Ale że w niczem dobrem nie smakuje, że go
 Datkiem trzeba prowadzić, nawet do dobrego,
 Że gościnnie dla obcych głupstw, a swojego brata
 I charakter gniazdowy i zacność pomiata,
 Że mając dość wszystkiego, bo co tu brak komu,
 Siebie i swoich przedać obcym nie ma sromu —
 Taki Naród, z wróżbami nie szerząc się dalej,
 Zginie, ani ktośkolwiek nad nim się uzali.
 A zatem, moi wielce gościwi Wasale,
 Umyśliłem Waszmościom dziś *longum* dać *vale*.
 A że część może rada, część być niekontenta
 Narodu troskliwego o *pacta conventa*,
 Aby kto nie rzekł w gębie nie mającej smaku:
 Dyabła zjadł Sternik, co nas zostawia na haku,
 Chcę mądrego po sobie zostawić im króla,
 Któryby jak ja... (Gamoń wchodzi) Otóż *lupus in fabula*.

Tu następuje scena (III, 7) w której Król zaprasza Gamonia (Gawła), by tron po nim objął¹⁾, cytowana, dla rozsypywanych rzekomo mnogich aluzji, przez Gawalewicza niemal w całości. Szkoda, że tej mnogości nie wyszczególnił, nie określił bliżej, że dotknął rzeczy tylko z lekka, mimochodem i nie wypowiedział się wyraźniej. Co prawda, jeżeli wybierze się jakiś osobny, specyficzny punkt obserwacyjny, cała komedia będzie aluzją, która przez Legrand'a skierowaua do stosunków francuskich, w sto niespełna lat później w wolnym przekładzie Zabłockiego, nawet może bez umyślnej intencji, przypadkiem, utrafia w sedno ówczesnych bolączek społecznych i towarzyskich w Polsce czy w Warszawie. Grzechy i przewinienia, skłonności, lubownictwa i wstręty nie są zazwyczaj opatentowanymi przywilejami pewnych narodów; stają się one raczej dziedziczną, sit venia verbo, epidemią ogólnie ludzką, wędrującą zależnie od okresu i czasu ewolucji to w tę, to w ową stronę świata. Już w tem samem tkwi sporo satyry, że Władca Kokanii, pominawszy niektóre szczegóły i szczególiki zbyt jaskrawe i szaleńczo wykołejone do absurdu, w swem obłąkaniu ocenia sprawy i ludzi swego otoczenia niemal rozsądniej niż przy zdrowych zmysłach.

Jakiż jest stosunek Zabłockiego do pierwowzoru? — Czasy Stanisława Augusta mimo gorączkowej dążności do naprawy tego wszystkiego, co się wypaczyło i psuło w okresie poprzednim, mimo niezwykłych zdolności i szerokiej wiedzy, mimo olbrzymiej

¹⁾ »Królu, racz na tron wstąpić, racz panować godnie« i t. d.

wręcz pracy i zabiegliwości, nie odznaczają się wogóle bogactwem samodzielności tak w pomysłach jak wykonaniu. Przeważnie korzysta się z wzorów obcych, naśladuje się, przerabia lub tłómaczy. Umysły niezmiernie czułe i wrażliwe w lot chwytają każdą nowość pojawiającą się na zachodzie, którąby zużytkować i zastosować można w kraju. W tej pogoni za najświeższą aktualnością niezawsze zdołano zachować przynależną miarę i utrzymać się w równowadze. Popadano w manierę; nieraz bezkrytycznie przyswajano rzecz obcą li tylko dla tego, że „modna“. Materiał, którego dostarczał zachód, zwłaszcza Francya, nie bywał też odpowiednio przetwarzany; obrabiano go częstokroć tylko z grubszapowierzchnie. Sądzono, iż dość pomysł obcy nagiąć do swego celu i zamiaru, dość podsunąć zapożyczoną treść tło ojczyste, wpleść w jej wątek jakąś własną obserwację, wstawić podpatrzony w życiu typ lub charakter — i w to wsypać szczyptę swojskiej soli..

Dużo zamętu w pojmovaniu bądź co bądź odmiennych nieco zadań tłómacza a naśladowcy wywalała niedość ściśle i jasno określona rada, której w przedmowie do *Panny na wydaniu* młodym autorom udzielił ks. Adam Czartoryski, mianowicie, aby utworów obcych, zwłaszcza komedyi, nie tłómaczyli dosłownie; owszem przeinaczali, zbliżali do wyobrażeń i stosunków polskich, jednym słowem „polszczyli“ w najrozleglejszem znaczeniu, nie tylko słowem, lecz także przemalowaniem charakterów i zabarwieniem akcji. Zapamiętał to sobie twórca *Fircyka w zalotach* i *Zabobonnika* aż nadto, a realizował po swojemu!

Król w kraju rozkoszy jest przeróbką podobną; czemś pośredniem, wahającym się pomiędzy przeróbką właściwą t. j. taką, jaką według dzisiejszych wymagań być powinna, a wolnym przekładem. Wątek osnowy niezmieniony — jak w *Fircyku*, *Zabobonniku*, *Dziewczynie sedzią*, *Doktorze lubelskim* i i. Mimo to odbiega od oryginału tekst polski tak dalece, że tłómaczeniem ani wolnym przekładem nazwać go nie można. Miejsca obejmujące w oryginale wierszy kilka rosną pod piórem Zabłockiego w ustępy dłuższe, które zawierają samodzielne obrazowania i przenośnie, własne refleksye i inne, odrębne niekiedy zupełnie, szczegóły drugorzędne; — ustępy dłuższe oryginału natomiast maleją, topnieją. Zmienia się też dyalog. Tam gdzie u Legrand'a jedna osoba mówi dłużej, bez przerwy, u Zabłockiego wtrącają się ze swemi uwagami inne osoby — i odwrotnie. Czuje się na każdym kroku, że Zabłocki i w tym utworze idzie za wskazówką swego puławskiego mentora, a idzie tak, jak wskazówkę zrozumiał: polszczy utwór obcy gruntownie co do formy; prawie nic, albo bardzo nie wiele co do treści.

Już scena wstępna jest wierną ilustracją i przykładem metody Zabłockiego. Oto początek tekstu polskiego według manuskryptu puławskiego:

Filander: Tak tedy rozmaite zwiędrowawszy kraje
I gdzie słońce zapada i gdzie jutrznia wstaje,
Łądem, morzem, powietrzem, jak nikt z ludzi może, —
Pozwolisz Alzor, że mu winne dzięki złożę.
Któż jeżeli nie czarne sprawiły to księgi,
Że nad ludzką moc większe zgromiłem potęgi,
Żem się tylu piorunom, tylu burzom złożył.

Oryginał Legrand'a brzmi:

Philandre: Enfin, après avoir traversé tant de mers
Essuyé tour à tour mille périls divers,
De tant de siers Géans combattu la puissance
Nous sommes arrivés dans ce lieu de plaisance,
C'est par vous, sage Alquif, divin magicien...

Odtąd rozbieżność zupełna; dyalog przeobrażony nie do poznania; trudno nawet skonstruować sobie w wyimkach porównawcze zestawienie obu tekstów; nie wiedzieć, czego się imać, gdzie zahaczyć; trzebaby przytoczyć chyba całą scenę. Treść ekspozycyjna ta sama, ale w innym niejako świetle, w innej szacie, z innym wyrazem oblicza. Zlokalizowanie rubaszniejsze od oryginału, bez francuskiej półsłówkowej dyskrecyi, gadatliwsze — spolszczone. Szukając właściwego miejsca, któregooby można przecież, dla porównania, jako tako się uczepić, mimowoli, miejsca takiego nie znalazłszy, dobiegamy do końca sceny. Dowiedziawszy się, że przybyli do krainy sytości i rozkoszy, łakomi s'udzy radziby natychmiast coś smacznego przekąsić. Alzor (Alquif) nawołuje ich do cierpliwości.

Gamoń (Guillot): *podrzyżniając*

Tak *cierpliwość! Kto nie chce, niech nie je,
Ale ja żyć nie mogę tym wiatrem, co wieje.

Barasz (Zacarin): Ani ja! Jeść co prędzaj.

Filander: Jakby mazgaj kwili,
Toć i my nie — tak, jak wy, ni jedli, ni pili.

Barasz: Tak ni jedli, ni pili! Małeż to łakocie
W ustawicznych umizgach, w ciągłej żyć pieszczocie?
Łzy, westchnienia, jeszcze łzy i jeszcze westchnienia,
Toć to rosół, to sztuka mięsa te pieszczczenia.

Gamoń: *z podziwieniem*

Patrzcie-no patrzcie, jakaś z oblicza, z odzieży
I postaci szczególna ku nam maska bieży.
Fraszka odzieży, patrzcie twarz, jakie znamię zdrady!

Alzor (Alquif): Tajny też to minister królewskiej jest Rady.

(koniec sceny)

Zwięźlej i bardziej salonowo wyrażony jest końcowy ten ustęp w oryginale:

Guilot (Gamoń): . . . Vous nous baillez belle!
Votre amour vous nourrit avec votre Lucelle.

Philandre: Comment?

Zacorin (Barasz): Il a raison; dans tous vos déplaisirs
Vous avalez des pleurs, vous gobez des soupirs,
Vous croquez des baisers; dans tout le voyage...
Mais que demande ici ce grotesque visage?

Philandre: Voyons!

I koniec sceny. —

Początek sceny drugiej w przeróbce Zabłockiego:

Sztufada (Bombance): *prędko jak głupi:*
Kłaniam! — Cóż nam wydarza mieć tak rzad-
[kich gości?

Barasz: Głód najpierwej; potem chęć poznania Waszmości...

W oryginale francuskim:

Bombance: Je viens savoir qui vous amène ici.

Zacorin: La faim et le plaisir de vous y voir aussi...

Niby dosłownie. Lecz gdy Filander francuski, przedstawiając Ludwilę, swoje przygody opowiada bez przerwy, u Zabłockiego Barasz wtrąca konfidencyonalną nwagę:

A my tej bogini patzie.

Inne ustępy tejże sceny podobnie, to odbiegają, to zbliżają się tekstami. Dość zbliżone są teksty pytania skierowanego do Sztufady:

Barasz: I że tu ustawiczne, czemu ja nie wierzę,
Śniadania, podwieczorki, obiady, wieczerze,
Reduty, maskarady, bankiety, biesiady,
Że sama prawda, nie fałsz, otwartość, nie zdrady;
Że nie macie jurystów, sądownictwa, sporów,
Pieni, chorób, i nad nie szkodliwszych doktorów;
Że nie sieją, nie orzą, a przecież szczęśliwa
Obfite rok w rok ziemia wydaje wam żniwa;
Że u was zaraz skutek styka się z nadzieją;
Wreszeie, że starki młodną, nieładkie pięknieją.

Zacorin: Est-il vrai qu'on y passe et jour et nuit à table;
Qu'on y marche en tout temps sans crainte des voleurs,
Qu'on n'y souffre avocats, sergens, ni procureurs;

Que l' on n'y plaide point; qu'on n'y fait point la guerre;
 Que, sans y rien semer, tout vient dessus la terre;
 Que le travail consiste à former des souhaits!
 Que l' on y rajeunit et que de nouveaux traits?..

Zakończenie odpowiedzi Sztufady (Bombance'a) potwierdzającego to wszystko, co Barasz w swem pytaniu wymienił, lepsze nawet u Zabłockiego niż w oryginale:

Tak dalece, że, aby apetyt umorzyć,
 Dość jest w górę nos zadrzeć i gębę otworzyć.

.....
 Nous tombent ici bas du ciel comme la pluie,
 Dès qu' on ouvre la bouche, un morceau succulent...

W scenie trzeciej dłuższą tyradę Króla, przesyconego rozkoszą i noszącego się z zamiarem abdykacji, Zabłocki zmienia w dyalog:

Król: Dworscy moi! hola
 Wszyscy wyjść macie, taka Pańska moja wola;
 Mam z moimi ministry mieć Radę tajemną.
 Frykas, Sztufada, oba zostaniecie ze mną!

(pauza).

Ministry krajów moich i Tronu ozdobo!
 Choć ja Król, wy ministry, szczerze mówmy z sobą:
 Wiecie jak małych jestem Panem posiadłości
 Świat ledwie słyszy o nich i już mi zazdrości.
 Lecz co mi to królestwo, te wielkie zaszczyty,
 Kiedy w nich smak utracam przeto, żem ich syty.
 Nie — nie tak ja szczęśliwy, jak może myślicie:
 Jeść, pić, spać i coś więcej, toż to ma być życie?
 Ta obfitość napojów, ten dostatek mięsa —
 Wszystko jest dla sytości, dla smaku ni kęsa.

Frykasy (Ripaille): Prawda; dobry apetyt, kto się nań nie skarży,
 Wystarcza na przyprawę, za wszystkich kucharzy.

Król: Nadewszystko zaś dziewcząt gromada tak mnoga —
 Cóż mi po nich? powolne wszystkie, żadna sroga,
 Żadna taka, coby jak twarda morska skała
 Tłuc się bałwanem, ale nie wskrós przeszyci dała,
 Coby, jak ta przyjemna w żartach bałamutka,
 Rzekła czasem: Nie swywol, bo dostaniesz szcutka.
 Otóż to jest rokambuł, co tępy smak drażni!
 Zaraz się człowiek rusza i porywa raźniej.
 Wszak prawda?

Sztufada: Wielka prawda, najjaśniejszy Panie

Król: Słuchajcież, w tem, co myślę, jakie wasze zdanie?
Chciałbym na czas niejaki złożyć uprzykrzony
Ten ciężar majestatu, ten ucisk korony.

(pauza).

Ale że tron rzecz piękna...

Sztufada: Lecz z nim znój i praca.

Frykasy: (przeciwiać się)

Ale kto tron opuści, rzadko doń powraca.

Król: Żądam więc rady Waszych wiernych uprzejmości,
Czy lepiej być mi królem, czy przejść do równości.

Le roi (entre au bruit de la Symphonie):

Que chacun se retire, et qu'aucun n'entre ici!

(*Les étrangers et les courtisans sortent.*)

Bombance, demeurez, et vous Ripaille aussi!

Cet empire envié par le rest du monde,

Ce pouvoir qui s'étend une liene à la ronde,

N'est que de ces beautées dont l'éclat éblouit,

Et qu'on cesse d'aimer si tôt qu'on en jouit.

Je ne suis pas heureux tant que vous pourriez croire:

Quel diable de plaisir, toujours manger et boire!

Dans la profession le goût se ralentit;

Il n'est, mes chers amis, viande que d'appetit.

Je me lasse surtout, amant de tout de belles,

De ne pouvoir trouver quelques beautés cruelles,

De ces coeurs des rochers qui s'arment de rigueurs,

Qui par leur résistance excitent les ardeurs,

Et dont on n'oublie rien à moins qu'on ne le vole:

Ont dit que de l'amour c'est-là la rocambole.

Je suis donc resolu, si vous le trouvez bon,

De laisser pour un temps le thrône à l'abandon.

Le thrône cependant est une belle place;

Qui la quitte, la perd. Que faut il que je fasse?

Je m'en rapporte à vous; et, par votre moyen,

Je veux être Empereur, ou simple citoyen.

Bombance: Sire, je l'avouerai, c'est une triste vie etc.

W scenie pierwszej aktu III (Barasz-Zacorin: „Filander wolny, cóż stąd, kiedy nagłą zmianą Ludwila na rozumie została zmieszana“ i t. d. — „Mon maître est libre enfin, mais Lucelle extravagante“ etc.) początek obu tekstów bardzo zbliżony, ale już odpowiedź Alzora-Alquif'a inną, tak w wystylizowaniu, jak nawet i w swej treści; to jedno tylko pozostało: podtrzymywanie na duchu zniechęconego i przestraszonego niepomyślnym obrotem

wypadków Barasza-Zacorina, oraz zapewnienie sobie dalszej jego pomocy i dalszego współdziałania.

Wreszcie scena siódma, w której Król na tron zaprasza Gamonia-Guillota, cytowana przez Gawalewicza :

Król (obcesowo do Gamonia):

Królu! racz na tron wstąpić, racz panować godnie
Wieńczyć cnotę poczciwych, złych wytępiać zbrodnie.

Gamoń (bardzo zdziwiony):

Znaszże Waszmość Gamonia, próżniaka z rzemiosła?
Gdzież mój łeb do korony, lub łędźwie do krzesła!

Barasz (na stronie):

Trzeba go zdurzyć. (*głośno*) Próżno wymawiasz się, Panie,
To Króla, to całego Narodu żądanie.

Gamoń: Chociażby też i cały świat był z nimi w zмовie,
Że Gamoń dał drwić z siebie, nikt tego nie powie.

Barasz: Ale to nie zmyslenia: dla ciebie Korona,
Wspólną zgodą Narodu z Królem uchwalona.

Gamoń: Jeżeli też w tem prawdy jest choć odrobiną!

Barasz: Czemuż nie? W ten się sposób ta rządzi Kraina:
Tu wszyscy po kolei. Któremu rozkazą,
Jeden po drugim na tron i władzą i złążą.
Dzisiaj twoja jest kolej.

Gamoń: I z króla, niedługo
Panując, znowu mam być poturaczem sługą?

Barasz: O prostoto! Gdyby też chwila panowania!
Pomyśl, co to Król! Każdy Królowi się kłania.

Gamoń (namyśla się):

Dobrze to, lecz nim dojdę do tronu wierzchołka,
Pośliznę się, na przykład, przewrócę koziołka
I lecąc z góry na łeb kręgi w karku zbiję.
Cóż lepsze, czy lew, gdy zdechł, czy mucha, gdy żyje?

Król (do Gamonia):

Cnota się na tron wznosi i utrzyma, ręczę.

Gamoń: Wolałbym jednak, aby tron ten miał poręczce.

Barasz: Że są, nie wąp!

Gamoń: Skoro tak, doświadczyć nie wadzi,
Lecz choć z pierwszego razu, niech mnie kto prowadzi.

Król (zdejmując koronę):

Najpierwej tą koroną z głowy mojej zdjętą
Pozwól, Panie, ozdobić głowę Twoją świętą.

Gamoń: Leb mój święty? Rad temu i z serca i z duszy
Ale mi Waszmość nie tak ciśnij ją na uszy.

Król (dając berło):

Przyjmij, Królu to berło, znak królewskiej władze!

Gamoń (wążąc je ręką):

Musi być szczerozłote, poznaję po wadze i t. d.

Le roi: Seigneur, montez au trône et commandez ici!

Guillot: Connaissez — vous Guillot, pour lui parler ainsi?

Zacorin: Je ne m'attendais pas à ce trait de folie;
Mais il faut l'appuyer.

Le roi: Allons donc, je vous prie,
Regnez, je vous remets mon trône et mes États.

Guillot: Vous vous gaussez de moi, je ne le prendrai pas.

Zacorin: Quoi! Tu peux refuser l'offre d'une couronne?

Guillot: C'est pour se gauberger, morgué! qu'il me la donne

Zacorin: Non, vraiment, c'est le sort qui décide pour toi:
Chacun dans ce pays, à son tour devient roi;
Voilà ton tour venu.

Guillot: Ça pourrait-il bien être?
Mais dès demain, possible, on va m'envoyer paître.

Zacorin: Et quand cela serait, que l'importe, innocent?
Il est beau regner, ne fût-ce qu'un instant.

Guillot: Morgué! Ce trône est haut, et j'en crains fort la chute
Ne me faites pas faire au moins la culebute.

Zacorin: Votre seule vertu vous fait parvenir
Et nous mettrons nos soins à vous y maintenir.

Le roi (ôtant sa couronne):

Cette couronne est due à votre auguste tête.

Guillot: Ah mon auguste tête est, Sire, toute prête;
Morgué, boutez dessus!

Le roi: Prenez le sceptre en main!

Guillot: Fort bien, me voilà donc à présent Souverain etc.

Porównajmy powyżej zestawione cytaty z *Króla w kraiu rozkoszy (Le roi de Cocagne)* z którymkolwiek ustępem *Fircyka*

w *zalotach* (*Le petit-maître amoureux*) n. p. w scenie pierwszej aktu I¹⁾:

Świstak: Kto? on wzdycha? Nie znasz ty tego specyala!
Gdyby raz westchnął, cała płećby omgliwała.
Uprzedzany w miłostkach, ukochany wszędzie,
Ledwie się do którego dziewczęcia przysiędzie,
Zalotnice publicznie, pokątnie dewotki
Pożerają go wzrokiem — tak jest dla nich słodki!
Ja myślę, czy inkluzja nie ma, którym nęci.
I teraz ze sześć w nim się kocha bez pamięci.
Ale się pozawodzą. Wasza Podstolina
Kaducznego mu w głowę zasadziła klina;
Jest teraz z nią w ogrodzie.

Pustak: Mego Pana siostra?
Ta piękność w miarę siebie surowa i ostra?

Świstak: Ta sama, ale nie tak, jak powiadasz, sroga.
Lubi ona i ludzi, choć wzdycha do Boga.
Będzie z niej dla mojego zdobycz Starościca.
Nasza ona, skoro się do niej pozalica.

L'Olive: Bon! tu le connais bien! jamais il ne soupire;
On le prévient partout, il n'y saurait suffire:
La Coquette en public, et la Prude en secret,
Le voit, l'aime, l'adore et le manque à regret:
Il est dans le Jardin avec la Présidente.

Arlequin: Quoi! la soeur de mon maître?

L'Olive: Une beauté charmante,
Une Prude qui feint un absolu mépris
Pour des attraits vainqueurs dont elle sait le prix.
Voilà pour le Marquis une belle conquête,
Et c'est ouvrage fait, s'il se le met en tête.

Uwzględnijmy inny jeszcze ustęp n. p. w scenie ostatniej aktu III:

Aryst: A! to sposób pisania intercyz jedyny!

Fircyk (zawsze do prawnika):

Zrobić to swoim stylem, tylko bez łaciny.
Żeby zaś ta rzecz była trwała i wieczysta,
(do Podstoliny)

Będziemy, żono, prosić o podpis Arysta.

¹⁾ Posługuję się tu rozprawą dra L. Bernackiego: *Źródła niektórych komedyi Zabłockiego*; — Pamiętnik lit. VI, 1907, zes. 1—3; — również w osobnej odblitce.

Aryst: No, no podpiszę, ale kiedy będzie i ta nota:
 Że świat cały równego tobie nie ma trzpiota,
 Bałamuta, fiutyńca, wietrznika, świstaka...

Fircyk: A, jak ty, nudniejszego mędrca i dziwaka.
 (Odchodzą).

Lisimon: Voilà, pour un Contrat, une nouvelle mode.

Damon: Vous le rédigez suivant votre méthode;
 Et puis vous reviendrez nous l'apporter ici.
 Nous le signerons tous et Lisimon aussi.

Lisimon: Oui — dà, je signerai que, dans toute la vie,
 Tu ne verras jamais ton égal en folie.

(Fin.).

Metoda przerabiania ta sama. Jakież stąd wnioszek? Co do wartości roboty autorskiej Zabłockiego *Król w kraju rozkoszy* i *Fircyk w zalotach* stoją mniej więcej na równi. Powstrzymuję się od bliższej i szczegółowej oceny porównawczej oryginałów Legend'a i Romagne'siego. Zresztą już powyżej stanowisko swoje w tej sprawie zaznaczyłem o tyle, o ile to do zorientowania się, o co chodzi, było konieczne.

Jeżeli *Fircyka w zalotach* uznawano i uznaje się wciąż jeszcze arcydziełem polskiego Moliere'a, to za tego samego pokroju arcydzieło uważać wolno *Króla w kraju rozkoszy*; i z pewnością krzywda mu się dzieje, że go dotąd nie drukowano. Ale taką samą „względną“ wartość arcydzieł na równi z *Fircykiem* lub *Zabobonnikiem* mają obecnie *Pasterz szalony*, *Amfitryjo*, *Małżonkowie pojednani* i utwory inne przyodziane w starannie wykończoną, wytworną szatę literacką a wydane przez autora z otwartą przyłbicą jako przeróbki pierwowzorów obcych. Są one pięknymi pownikami „mowy towarzyskiej“ w Polsce, za panowania Stanisława Augusta. Inni poeci i autorowie przechowali nam przeważnie język literacki. Czytając „przeróbki“ Zabłockiego „wsłuchujemy się“ naszą wyobraźnią z zachwytem w sympatyczną „gwarę warszawską“ owych czasów, którą zdezonizowany przez dra Bernackiego twórca komedii polskiej żywą nam zachował i unieśmiertelnił.

Trzy znane są rękopisy *Króla w kraju rozkoszy*: 1. omówiony przemień na wstępie autograf puławski, który bezwarunkowo powinien być podstawą przyszłego wydania; — 2. petersburski i 3. ordynacyi Zamojskich w Warszawie; dwa ostatnie prawdopodobnie (nie miałem dotąd sposobności i możności stwierdzenia) tylko kopie.

Maryan Gawalewicz w swym szkicu (*Franciszek Zabłocki*, j. w.) zamieścił kilka cytatów z *Króla w kraju rozkoszy*; zapewne używał rękopisu ordynacyi Zamojskich; wyraźnie (str. 76) źródła

nie podał i bliżej nie określił. Tekst jego cytatów jest cokolwiek odmienny od tekstu puławskiego. Alzor figuruje tu jako AlkiŃ, Ludwila jako Lucylla, Gamoń jako Gawel. Miarą i przykładem odmian niechaj będzie następujących (akt III, scena 7) kilka wierszy:

Gawel: Znaszże mnie waszmość? — Gawła, rolnika z rzemiosła?
Gdzież mój łeb do korony, lub tam coś do krzesła!

Barasz (n. s.):
Trzeba go poprzeć!

Król:
Darmo wymawiasz się, panie!
Ja moje, — to całego narodu żądanie.

Gawel: Gdyby też tam i cały świat z wami był w znowie,
Że Gawel dał drwić z siebie, nikt tego nie powie.

Barasz: Ale tak w samej rzeczy, dla ciebie korona
Wspólną wołą narodu z królem uchwalona.

Gawel: Ale czy też w tem prawdy jest choć odrobina? i t. d.

Napotykamy tedy dość wyraźne wskazówki, że rękopis, który udało się odszukać Maryanowi Gawalewiczowi, jest koncepcją rychlejszą od puławskiego. Wskazówki te oczywiście nie mają żadnego rzeczowego znaczenia wobec zupełnie pewnej wiadomości, że autograf puławski jest zarazem edycją czy koncepcją ostatnią — przedśmiertną.

Lwów.

Bronisław Kąsinowski.

Kim jest Doktor-Szatan w Kordyanie?

W wydanej w r. 1909 pracy p. t. *Juliusza Słowackiego Kordyan*¹⁾ powiedział Dr. Ujejski na str. 16 o Szatanie - doktorze te słowa: „Nie zapomniał o nim [sceptycyzmie] jednak poeta i całą scenę (w szpitalu waryatów) poświęcił na jego pastwienie się nad złamanym Kordyanem, uosobiwszy go w postaci szatana-doktora“.

Widział więc w Szatanie-doktorze uosobienie sceptycyzmu Kordyana.

Spostrzeżenie to stwierdza Dr. Ujejski w pracy swej p. n. *Główne idee w Anhellim Słowackiego* (Kraków, 1916), w której

¹⁾ Sprawozdanie gimnazjum św. Jacka w Krakowie; pomieszczona także w Księdze pamiątkowej ku uczczeniu setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego pod redakcją W. Hahna, we Lwowie, 1909, t. I.